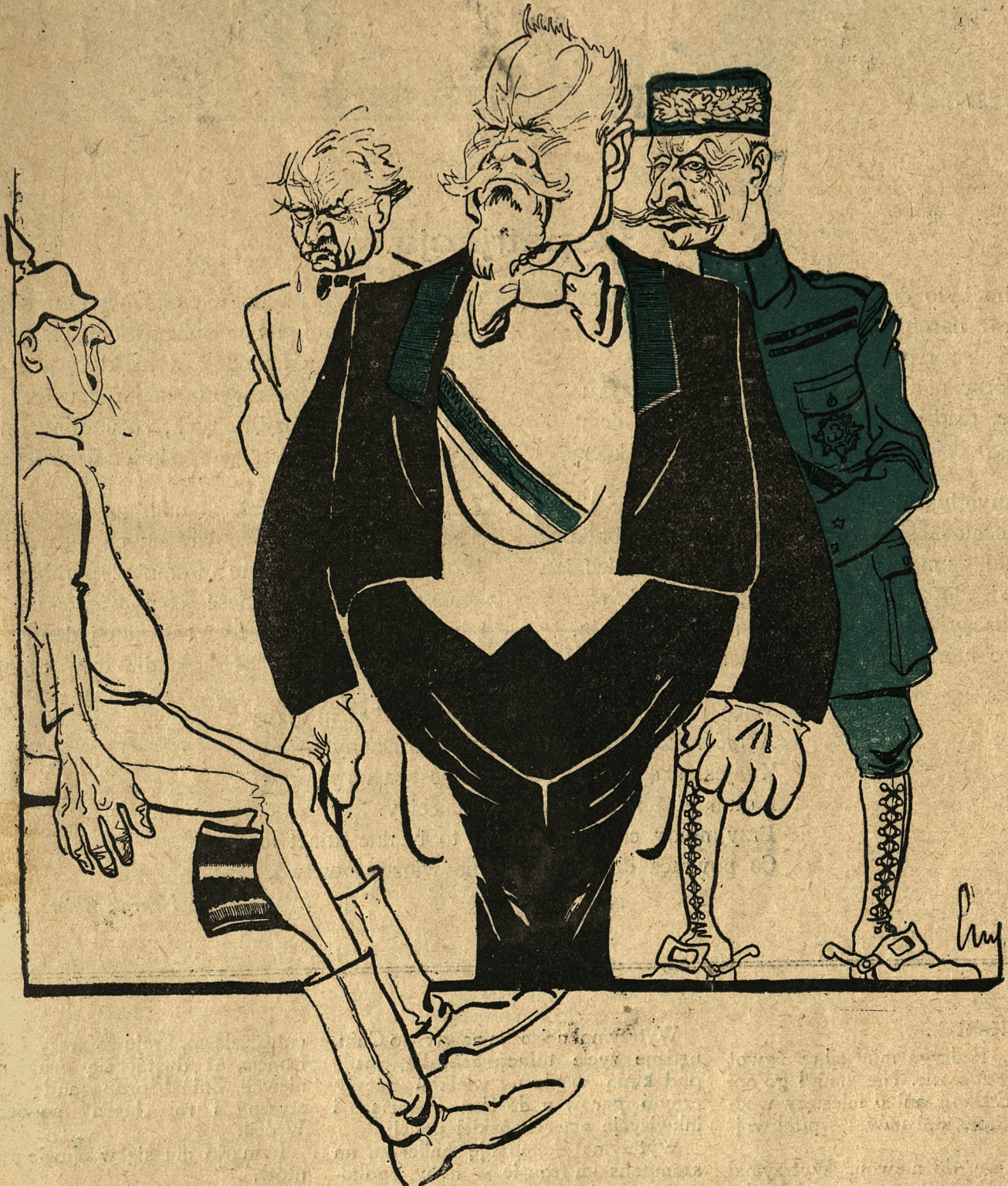


SZCZUTEK

TYGODNIK SATYRYCZNO-POLITYCZNY

Rys. Z. Czernański — (Chelm).

Co podpowiedział marszałek Foch Poincaremu.



Choć Lloyd George oplakuje Niemiaszka nieszczęście
Pokażę, żem jest Francuz i mam silne pięście.
Co zapadło w Wersalu, musi być spełnione

Mamy Focha — ten zawsze weźmie nas w obronę.
Kto nas pragnie poniżyć, powiemy mu: biada!
Nie wierzycie — popatrzcie kto mi podpowiada,



Repatracja.

Głucho było dotychczas w Polsce o tej sprawie,
A teraz narobiono nagle dużo krzyku.
Co to jest repatracja? pytają ciekawie,
Ci którzy nie są mocni w łacińskim języku.
Ojciec, matka, lub wujko robią wielkie oczy,
Gdy go dziecko pytaniem takowem zaskoczy.

Rzućmy głupią łacinę — kto chce prawdę wiedzieć,
By nie musiał się wstydzić lingwistycznych braków,
Niechaj, zamiast w kawiarni lub cukierni siedzieć,
Uda się do zamiejskich odległych baraków
A zobaczy on nędzę i otchłań tak wścieklą,
Wobec której igraszką jest Dantejskie piekło.

Głód, gorączka i tyfus w cudownej harmonji,
Niszczą ciała, okryte w splugawione chusty,
Człowiek zdrowy o miedzę z tym, który w agonji,
Młodość trze się o żary tajonej rozpusty,
Tak przyjmuje ojczyzna tych, co w długiej męce
Wyciągali do kraju swe stęsknione ręce.

Z dna nędzy niebywałej i otchłannej nocy,
Setki naszych rodaków, wróconych ojczyźnie,
Wołają wielkim głosem; Pomocy! pomocy!
Więc nie starczy ofiarność, co po wierzech liźnie,
I przywiezie przez ręce wystrojonej damy,
Dwa cukierki, dwie igły i mydła trzy gramy.

Więc porzućmy sobkowsko, co sie kęsem dławi
A nie rzuci bliźniemu marnej okruszyny —
Kto jest skąpy niech sobie raz gest szerszy sprawi
I otuli nim z głodu ginące dziecińy.
Przyjmijmy ciepłem sercem to biedne tułactwo,
Co powraca do kraju, jak na wiosnę ptactwo.

Henryk Zbierzchowski.

Twardy Kantek.

Kantek Fedryga miał silny żywot
i krzepkie zdrowie. Nie zmógł go ani
k. u. k. E. Baon, ani 6 miesięcy w zimnym okopie, ani nawet szpital woj-
skowy.

Dostał się do niewoli. Wytrzymał
nahaje, piechotny marsz z pod Łucka
do Ufy — obóz jeńców i przeniesie-
nie do Błogowieszczeńska.

Wytrzymał ucieczkę nawet do Chin,
nędzne życie tułacza-żebraka, jazdę
pod kupą węgla na wielkim pacyfi-
cznym parowcu do San Francisco i
inkwizycje amerykańskiej policji.

Wytrzymał kampanję hallerską na
szampańskim froncie — miny, podko-
py, gaz, miotacze ognia, pociski bert,
lot zeppelinów.

Zdzierzył powrót do kraju, krajowy

entuzjazm, krajowe wszy i głód na
froncie, aż dostał się drugi raz do
niewoli. Zniósł propagandę komuni-
styczną i raj „lagru” sowieckiego.
Wrócił.

I zmarło mu się w obozie repatrja-
ntów.

Pan Bóg stwarzając Kantka Fedrygę
nie obmyślił takiego hartu, żeby i to
piekło strzymał.

pi.

Przeszkoda.

Obrazek upiorny.

Sławój Danica, piękny i szlachetny młodzian tak przed laty odznaczył się podczas studjów w Paryżu, że akademja nauk wysłała go na badania w tajemne, nietknięte stopą białego ostępy Północnego Borneo.

Rezultaty pracy dr. Danicy były tak zadziwiające, że otrzymał nie tylko „palmy akademickie“, członkostwo szeregu stowarzyszeń naukowych, ale i znaczną nagrodę pieniężną, odkrył bowiem w górach borneańskich bogate rudy aluminium czy czegoś podobnego.

Właśnie wybuchła wojna. Jako obywatel wrogiego państwa od razu został odepchnięty od wszelkiej pracy naukowej, ledwie nie uwięziony. Pomógł mu kapitalik. I wtedy dr. Danica, piękny i szlachetny młodzian zaczął zużytkowywać swą energję w innym kierunku.

Znajomi stracili go z oczu.

Tego roku przybył Danica do Polski, którą opuścił tyle, tyle lat temu.

Był świetnie ubrany, a wytworne pince-nez, nieco otyła, a golona i łysa postać legitymowały go z daleka jako człowieka „bieżącej chwili“. Poruszał się wyraziście, jaskrawo rzekłbym i bardzo pewnie.

Rodzina go nie poznała. Mój Boże, tyle lat!

Pierwsze swe kroki skierował do ministerjum.

Wręczył bilecik polecający od primaballeriny, której względy umiał zyskać (kurs franka!) i rzekłszy non-szalancko:

— Pieczętuję się Bogorją, gram tip-top w pokera... i już miał wywołać uśmiech błogiego zadowolenia w panu ministrze, gdy bez pukania wsunął się do gabinetu młodzieńki chłopiec, takiego samego wzrostu co Sławój, lecz o jakie 10 lat młodszy, szczupły, o jedwabistych blond lokach i w zielonych okularach, wielkich okularach...

— Dodam, że pan Sławój ma doktorat w Sorbonie — *eximia cum laude!* dorzucił.

Minister skrzywił się uprzejmie i cierpkawo rzekł:

— Szanowny pan wybaczy, ale nie mogę — nie mogę — pan wie — wyższe studia, pan mnie rozumie.

Danica wyszedł, wściekły, obiecując nauczyć młokosa, że nosa nie pcha się w cudze sprawy.

Tymczasem zakrzyknął się koło myśli nowej: zostać dyrektorem banku.

Już obmyślił świetną pocztę kurjerską dla szmuglu waluty do Gdańska, już uplanował lekkie wymuszenie na prezesie rady nadzorczej, którego „transakcje“ z pożyczkami dla paskarzy przejrzał wprawmem okiem

wyrobionego aferzysty, gdy gruchnęła wieść niesłychana.

Kilkunastu szmuglerów wsadzono za kratki, prezes rady nadzorczej popełnił samobójstwo! — Bezpośrednio przed tym wstrząsającym wypadkiem był u niego szczupły młodzian o jedwabistych blond lokach i niespotykanych w Warszawie okularach zielonej barwy! Ten sam chłopak zadenuncjował i szmuglerów.

Danica wiał się w pasji najwyższej. Pieniądze (choćby wysokiego kursu) poczęły kurczyć się.

Nareszcie deska ratunku!

Sprzeda Amerykanom las dębowy, prowizyja parę milioników, potem, coś Bozia da.

Już siedzi w cukierni z Mr. Evestrue, już dobija układu, gdy wtem ogląda się — oczom nie wierzy — obok siedzi ktoś trzeci.

Szczupły młodzieniec, jedwabiste blond loki — zielone okulary.

Bezczelny smarkacz zaczyna poprawną angielszczyzną, zatrącając trochę z marynarska tłumaczyć Amerykaninowi, że las ten zupełnie jest niedostępny, że niema pozwolenia na wyrąb i t. p. rzeczy, o których nieznający Polski cudzoziemiec nawet nie śnił.

Sławój Danica ryknął jak nosorożec borneański i chciał już chwycić natręta za gardło, ale zacny Amerykanin młynem zwinnym starego boksera wlepił mu parę ochładzających ciosów i parę mocnych słów.

Gdy Danica oprzytomniał, nie było już ani Amerykanina, ani bezczelnego smarkacza.

— Cóż mi pozostaje? Założyć partję polityczną! — Zaczął rozsnuwać plany dostaw miliardowych, marzył o koncesjach, koncesyjkach — widział już, jak sprzedawał posady, jak zagarniał subwencje. Jednem słowem miał już gotową ideologję partyjną.

Zebrał niemało ludzi na konstituujące zgromadzenie. By przyciągnąć i ziemian i chłopów i inteligencję, nazwał ją „narodowo-ludowo postępową“ czyli *N. L. P.* i gwizdał na to, że *N. L. P.* wykładano sobie: „*na-ciągnij lepiej pasek*“. Grunt — miał zwolenników.

Zeszli się adwokaci, aferzyści, dziennikarze, niepiszący szantażyści, historyczki, profesorowie, pośrednicy, komwojażerzy, hochsztaplerzy.

Lada chwila otworzy historyczne zgromadzenie.

Nagle na trybunę wskoczył szczupły młodzian o jedwabistych blond lokach i poprawiając zielone okulary, mówić, ba — krzyżeć począł.

— Hańba wam, megalomani, geniusze bez teki, łowcy ryb w mętnej wodzie i przekupnie ideałów! Kto z was tu przyszedł pracować dla do-

bra pospolnego? Kto z was sprawiedliwości przysiągł służbę i straż?

Wszczął się rwetes, zgiełk i zamieszanie. Jedni rzucili się, by bić zuchwałca, drudzy, by go bronić, inni wykrzykiwali piniąc się zaciekle:

— To do pana pił! Do pana!

— Nie, do szanownego pana, tak!

Rozszalały się nienawiści i waśnie postronne, rozbałwaniły się porachunki osobiste.

I *N. L. P.* djabli wzięli, a warchoł gdzieś znikł.

Rozstrojony do punktu kulminacyjnego Sławój podążył do swego przyjaciela.

Dobrze jest szukać wytchnienia i uspokojenia na łonie — żony cudzej.

Sławój, dotąd zajęty tak silnie, nie miał czasu wykonać ataku do serca pani Reny.

Dziś miał parę kwadransów czasu, więc postanowił wziąć się do dzieła.

Przyjaciela nie było w domu.

Zabawiono się w chowanekę.

Sławój znajduje Renę — w buduarze.

Przeciera oczy — płomień gniewu uderzył mu na policzki.

Obok Reny — o parę kroków stoi młodzian w zielonych okularach, chyląc swe jedwabiste blond loki.

W całej jego postaci malował się wstyd i wyrzut sumienia i przegięcie obawy i dreszcz szczerzego czystego wzruszenia.

Jedna myśl tylko.

Sławój sięgnął do kieszeni.

Huk strzału.

Nieznajomy trafiony w samo serce padł, okulary podróżnicze potoczyły się god łóżko.

Jeszcze nogi kurczą się i rozsuwają.

Patrzy bez okularów — stalowemi, głębokiemi oczyma.

Rena widzi te oczy — te straszne, stalowe konające oczy.

Skonał. Leży na dywanie i patrzy oczyma wytrzeszczonemi w powalę.

— Kto to, kto to?

— Sławoju, patrz w te oczy — to — ty — ty! Jeno o 10 lat młodszy. Tu leży trup młodości twej!

Trup zaczyna powoli zamieniać się w mgłę niebieskawą.

Sławój Danica patrzy na kręgi mgły i zaczyna szeptać Renie:

— Widzę — jaskinia czarów — Hpuang — na Borneo — tam zawsze zostaje uwięziony dwojnik człowieka... Tak, teraz rozumiem — on wrócił za mną, ten młody, pełny ognia i ideału — Sławój Danica — ha ha ha! I dostał kulę w łeb! Ha-ha-ha! Moje sumienie...

Dr. Sławój Danica zrobił kolosalną karierę.

pi.



U Wrót Niebieskich.



Gość z Rzymu: No, nareszcie zasłużony czeka mnie tu odpoczynek!
Klucznik: A widzisz, i sobie zrobiłeś! przyjemność i tam na ziemi swojemu następcy!

Kochany Szczutku!

Marcin Posoka, rzeźnik i multimi-ljoner wojenny, kupuje magnacką willę. Właściciel wprowadza go do salonu.

— Patrz pan, sufit z freskami, które projektował Mehoffer a wykonał Wy-grzywalski. Tylko dla braku konser-wacji trochę zczerniały.

— Nie szkodzi! — mówi bagatelnie Posoka — ja to każę pobielić!

— A tu kominek marmurowy a la Louis.

— Niby wielkanocny.

— Dlaczego wielkanocny?

— Alleluja... powiedział pan.

Schodzą do suterenu. — Właściciel tłumaczy.

— Centralne ogrzewanie najnow-szego systemu: kaloryfero-radiatory.

Posoka bada dokładnie cel instalacji i zauważa:

— Przemysłny kawałek, ino żeby się to psiaświństwo inaczej nazy-wało...

*

Sprzedający zwraca nowonabywcy uwagę, że są dwa tranzety, jeden dla państwa, drugi dla służby.

Posoka ogląda je z politowaniem i mówi:

— Wolałbym jeden, a większy!

„ZA CESARZA“.

1.

Na c. i k. etapie. Piąty żywioł, sil-niejszy niż ogień, woda, ziemia i po-wietrze razem wzięte: wszy.

Wszy, wszy, wszy...

Łażą, kłają; krew sączy się. W każ-dym oczku sweatera widać ohydny łebek lub niemrawe, wstrętne ruchy

sześciu łapek. Żołnierze dostają obłą-kania. Nawet juhasi siedmiogrodzcy, przyzwyczajeni do tych zwierząt, tam domowych, tarzają się wśród prze-kleństw.

Tylko Dr. Kurt Huberbauer, jest spokojny.

— Człowieku, jak ty potrafisz?

— Wziąłem notes, i teraz robię sta-tystykę: ile ukąszeń na minutę, w ja-kie miejsca, czy w regularnych odstę-pach — jakie gatunki wszy, płeć... wzrost...

— Dosyć!

Żołnierze, twarde chłopcy, wytrzesz-czają oczy z bólu. Tylko wynędzniały inteligent jest spokojny. Umysł jego pracuje.

2.

Przesuwają nas ku linii bojowej. Lada chwila możemy pójść w tan.

Vaclav Vydral, namawia przyjaciela swego, Józka Korowaja. — Kastor i Polluks, kompanijny, szepczą coś.

— Więc postrzelisz mnie, gdy pój-dziemy po drwa do lasu, co? Ręka?

Vydral i Korowaj idą w ustronie. Józek bierze nietylko karabin, ale i łopatę, spokojnym ruchem polskiego andrusa.

— Poco ta łopata?

— E, widzisz, ja niezbyt fajno strze-lam, nuż cię wygołę na tamten świat... na wszelki wypadek, do cholery...

Vaclav już zrezygnował z samo-okaleczenia się.

3.

Już jest bardzo blisko. Moritz Tei-telbaum jest już zielony. Czego bie-daczek nie robił! I szafran połykał garściami, i mączkę cukrową sypał w oczy: nic. Jest tutaj.

Zza lasu wzbija się chmura ptac-twa.

— Widzisz, Moritz, taki wrogi by-leś naszej armii, popatrz, wrony lecą, „nasi“ dostali łanie, wydzierają, diabli wszystko biorą...

— Joj! Ja nie chcę żeby nasi prze-grali — joj! ja nie chcę! — Ja tylko z swojej skromności nie chcę brać wawrzynów na swoje konto. pi

Poszanowanie tajemnicy służbowej.

(Autentyczne).

Podczas wizji sądowo-śledczej po napadzie bandyckim na kantor ban-kierski, jakaś staruszka pyta dobro-tliwie policjanta wzbraniającego przy-stęp do domu:

— Kogo to kochany panie zabili, człowiek by się choć pomodlił za bie-dną duszyczkę...

— Proszę nie utrudniać — kogo trzeba było, tego zabili... odpowiada srogi policjant...

usłyszał Sław.



Dodatek „SZCZUTKA”

CENY OGŁOSZEŃ: Cała str. Mp. 30.000 — pół str. 15.000 — $\frac{1}{4}$ str. 7.500 — $\frac{1}{8}$ str. 3.750 — $\frac{1}{16}$ str. 1.875

Jeśli chcecie cokolwiek ogłosić w czasopismach polskich, dajcie zlecenie Przedsiębiorstwu Ogłoszeń i Reklamy „**Podbój**” we Lwowie, ul. Zielona 34 a oszczędzicie sobie zachodu i pieniędzy.

Rys. M. W. — Lwów.

Zgoda amerykańsko-japońska.



Gdy się człek z człowiekiem godzi
Są to bardzo wzniosłe chwile,
Tylko proszę nie oglądać
Co sposobi się na tyle.

Z książki dowcipów.

1.

Pani. Józiu — możesz wypić to piwo z mojej szklanki, jeśli chcesz.
Sługa. Owszem, ja się żadnym świństwem nie brzydzę.

2.

Ajent asekuracyjny. Jak wysoko życzy sobie pan łaskawy ubezpieczyć dom?

Właściciel. Oczywiście, że aż do komina.

3.

Na drodze spotyka Moryc jadącego na koniu Hersza, ale odwróconego twarzą do ogona.

— Hersz! ty zwarzjował? jak ty jedziesz?

— A naco ma kto wiedzieć gdzie ja jadę.

4.

— Mamusi! ja nie pójde za Karola, on ma takie małe oczy!

— Bądź spokojna, on zaraz po ślubie zrobi wielkie oczy...!

5.

Katecheta. Powiedz mi Komar, dlaczego modlimy się „chleba naszego daj nam dziś”, a nie prosimy na miesiąc albo na tydzień?

Uczeń. Bo na dzisiejszą drożyznę, byłoby to za wielkie wymaganie.

6.

— Musisz więc Wandziu być grzeczną, bo z małych grzecznych dziewczynek wyrastają duże grzeczne panny.

— A wiesz co wyrasta z dużych, grzecznych panienek?!

— Znowu małe, grzeczne dziewczynki...!

7.

Ojciec (do syna niedorajdy, siedzącego w salonie, obok młodej panny). Mówże coś do niej, bo to bardzo bogata koza...

Syn (do niej). Przepraszam, czy pani lubi jeść trawę.

8.

Profesor (do młodej żony). Więc dziś Marysiu upływa sześć miesięcy od naszego ślubu.

Żona. No i cóż z tego?

Profesor. Masz tu półroczne świadectwo.

9.

Żebrak (do starej panny, karmiącej pieczenią pieska). Litościwa osobo wesprzyj biednego.

Stara panna. Wynoście się!

Żebrak (zwraca się do pieska). Może łaskawy panicz wstawi się za biednym do mamusi.

Kas.



Bielizna damska

KOMPLETNE WYPRAWY ŚLUBNE



UL. Halicka 5.

Droga pamiątka.

— Cóż ty masz w tym medaljoniku Niusiu?
— To droga pamiątka! Włosy mego męża.
— Przecież twój mąż żyje!
— On tak, ale jego włosy nie.

Bobo.

W ciemnym pokoju.

— Panie Felciu jak mnie pan pocałuje to krzyknę...
— Kiedy ja wcale nie chcę pani całować...
— Dziwna rzecz, a ja mam chęć krzyknąć...

Z targów poznańskich.

Podobno z racji zbliżających się „Targów Poznańskich” — operetka tamtejsza przygotowuje: „Targ na dziewczętą”.
Sław.

Jan Gella.

Rzecz bez tytułu.

Jęk, ryk, coś jakby zgiełk tysiąca duchów,
Jakiego Danta genjusz nie wypowie!
Zgrzytanie zębów wśród zgrzytu łańcuchów,
Ludzkie postaci strątowane mrowie...
Ludzie, jak widma z oczyma krwawemi,
Walczą, a z piersi bucha wrzask nieboski...
Czy to Dzień Sądu? Czy trzęsienie ziemi?
Nie, proszę państwa, to jest tramwaj lwowski!

Stacja... więc naraz, jakby na komendę,
Z bliźnim się bliźnia, a z bliźnią zwał bliźni.
Sto osób pcha się tam i stamtąd pędem...
Płaczą kobiety i wyją mężczyźni!
Walka na pięści, obuwie i zęby,
Błoto z krwią razem na licach ci skrzepło,
Gdzie zboże młóca, tam lecą otręby!
Węgla brak wszędzie, ale nam jest ciepło!

Dzięki ci Boże, iżeś mnie człowiekiem
Stworzył we wieku, co jest odkryć wiekiem!

Pasjami lubię stać przy telefonie,
W kinie w nieznane podróżować kraje!
Kocham się w Ediso- i Stephensonie!...
Ale nad wszystko uwielbiam tramwaje!

Wsiadam i raptem — o słodki zwyczaj
Tej gościnności, którą możem święcić! —
Odrzuć jestem w pośrodku tramwaju,
Niema obawy, abym mógł wylecieć...
Chciałbym tak jechać choć do Paragwaju!
Nie jechać, raczej płynąć, sunąć, lecieć...
Tłum bliźnich tworzy mi kordonu ściany,
Ja na kimś siedzę i ktoś na mnie siedzi...
Bywał kto kiedy tak podejmowany?
Sąż gdzie na świecie pocziwsi sąsiedzi?

Lubię się wierzchem puścić w głuszę polną,
Za autem także niekiedy przepadam,
Ale — niech będzie mi powiedzieć wolno —
Jazdę tramwajem nad wszystko przekładam.
Tu bowiem rytmem pełnym życia bucha:
Jest coś dla oka, dla nosa, dla ucha.
A inne?... (tu by rzeczy, biorąc ściśle,
Trzeba coś dodać o dotyku zmysłu)
A inne? Nie bierz ich zbytnio w obronę:
I inne zmysły nie będą skrzywdzone.

Jedziemy... Cóż jest nad podróżowanie!
Jest tu zacisznie, przyjemnie i błogo...
Nieopisane wozu chybotanie
Nogę twą zsuwa z czyjaś pulchną nogą,

Teraz ci tramwaj przypomina sanie,
Co mkną kuligu ośnieżoną drogą!
I oto niby zapusty nad ranem,
Własne się szczęściem upiwszy dowoli,
Kolano twoje z sąsiadki kolanem
Tańczy two-stepa w tempie barkaroli.

Niema do wyznań stosowniejszej pory!
Miejsca lepszego na miłosne scherza!...
Choć przerywając czasem konduktory
Potok słów, który płynąć winien z serca.

Sąsiadka twoja — zrzuciła niebiosą —
Błękitnooka i złocisto-włosa,
Śnać do tramwaju nieprzyzwyczajona,
Ciągłe się w twoje obsuwa ramiona...
Gdy zaś o ramię wsparte masz jej ramię
Reszta już idzie niesłuchanie gładko:
Kocham cię Pani nad wyraz! nie kłamie!
Oddaj mi serce swoje wraz z... „Z przesiadką?”

„Pani się śmieje?” — błagasz, a tymczasem
Błocisz najdroższej lakierowe meszty —
„Będiesz mem szczęściem, bóstwem, ananase!”
Proszę...
— Co proszę?
„10 mk. reszty”.

— O Boże! Pani drwi najoczywiście!
Z łez moich czulszych, niż lzy Heloizy!

Będę cię kochał Pani najogniściej
Przez całe życie!

— Tylko do remizy!

Tramwaju lwowski! Ty jesteś, jak
zdrowie!
Ile Cię cenić trzeba, ten tylko się
dowie,
Kto cię stracił i musi w deszcz, wicher
i błoto

Lwów z krańca w kraniec
przemierzać piechotą!
Gdy chmur się czarnych zwał kłębi
na niebie,
A świat wygląda jak Grande Canale,
Jedna jest rzecz tylko gorsza od
ciebie,
To jest, gdy nawet ciebie niema
wcale!

Ktoś chce wysiadać, a więc w tym
zamęcie
Całusów pragnąc skraść sąsiadce
kilka,
Zbliżasz się... Boże! Tramwaj na
zakręcie
Chybnał i w oko wlaży ci jej szpilka.
Robi się hałas jak w warszawskim
sejmie
„Jak można nosić takie szydła
długie!”

„Pan straci oko!” Starasz się
uprzejmie
Pocieszyć damę, że masz jeszcze
drugie!

Wreszcie chcesz wysiąść... O słodki
zwyczaj!

O staropolska gościnności złota!
Sąsiedzi nie chcą cię puścić

z tramwaju:
Na dworze wicher jest, błoto i ślota...
A tutaj ciepło, wygodnie jak w raju,
Bosko! Wóz wami rozkosznie miota
I jedziesz, jedziesz, chociaż
krzyczysz: basta!
W zupełnie inny, niż chcesz, kraniec
miasta!

Dzięki ci Boże, iżeś mnie człowiekiem
Stworzył we wieku, co jest odkryć
wiekiem.

Żeś mnie w kultury wtajemniczył
pochód,
Żeś mi dał poznać, jak pachnie
samochód!

Że mogę sobie stać przy telefonie
W kinie w nieznane podróżować
kraje

Kochać się w Ediso- i Stephensonie
Ale nad wszystko, żeś stworzył
tramwaje.

Po maskaradzie.

— Wyobraź sobie mążusiu, jakiś
czelny hiszpan skradł mi całusa!

— To gorzej, bo mi jakaś beczel-
na ukraińska skradła — zegarek.

Boguś.

Z Księgi dowcipów.

1.

— Łaskawa pani życzy sobie suk-
nię balową dla panienki, zapewne ma
być mocno wycięta i bez rękawów?
— O nie, moja córka ma już na-
ręczonego!

2.

Stara panna. Panie doktorze, stra-
szenie mi ząb dolega, czy możnaby
się go pozbyć?

Lekarz. A który to ząb panią boli?

Stara panna. Ząb... czasu.

3.

— ...O tak u nas bardzo zdrowa
okolica, niema tu żadnych chorób.

— ...Częste są wypadki śmierci?

— Od szeregu lat jeden, jedyny
wypadek!

— A któż umarł?!

— Tutejszy lekarz z... głodu!

4.

— „Więc czym pan właściwie jest?
idealistą, czy materialistą?!

— ...Właściwie jestem... kanceli-
stą...!

5.

Guwernantka (do dziewczynki, któ-
rej ojciec był wdowcem: Widzisz ta-
tusiuwi sprzykrzyło się wdowieństwo
i za dwa tygodnie żeni się... pójdziesz
więc na wesele...

Dziewczynka (z gniewem). Ja sta-
nowczo na tem weselu nie będę.

7.

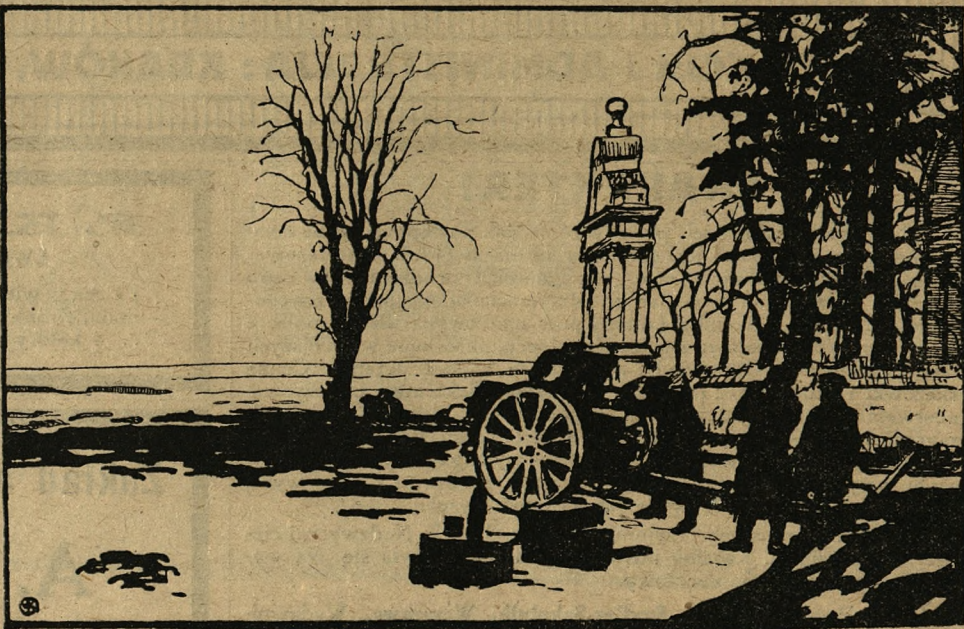
Stara panna. Sprzedałeś mi pan
pijawki, które zupełnie nie chcą się
mnie czepić...!

Felczer (patrzając na nią). Nic dziw-
nego...!

8.

— Jakże się to stało, że ci się Hen-
ryk oświadczył?

— A tak, on nic nie mówił, ja nic
nie mówiłam i tak daliśmy sobie
słowo. Kas.



HENRYK ZBIERZCHOWSKI

„ZONGLER”

Rzeczy wesole i smutne.

Wydawnictwo „Szczutka”. — Do nabycia we wszystkich księgarniach.

NAJPOPULARNIEJSZY DZIENNIK BEZPARTYJNY

„GONIEC KRAKOWSKI”

SENSACJE DNIA!

Telegramy z całego świata! Korespondencje z całego kraju!

**Powieści i feljetony najlepszych
piór! - Bogaty dział wiadomości
z wszystkich dziedzin!**

**Wielka
poczytność**

„Gońca Krakowskiego” zapewniła
mu

Wielką siłę reklamową!

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: KRAKÓW, DUNAJEWSKIEGO 7.

CHARAKTER!

Zalety wady, zdolności, przeznaczenie, jak postępować żeby osiągnąć powodzenie? Przyślijcie charakter pisma swój lub zainteresowanej osoby, zakomunikujcie imię, rok i miesiąc urodzenia, ile osób najbliższej rodziny; na tych danych otrzymacie od uczonego psychografologa Szyllera-Szkolnika (autora prac naukowych) listem poleconym naukową szczegółową analizę charakteru, określenie ważniejszych zdażeń życiowych. Odpowiedzi na szerzej zadane pytania. Cenne wskazówki i rady. Praca naukowa p. Szyllera-Szkolnika zaszczycona mnóstwem odezów i podziękowań w poczytnych pismach krajowych i zagranicznych. Analizę wysyła się po otrzymaniu 500 marek. Jeżeli wziąć pod uwagę, że wykonanie analizy wymaga kilka godzin poważnej umysłowej pracy, koszty ogłoszeń, pocztowe i t. p. wyżej oznaczona suma nie może wydawać się zbyt wysoką.

Dla badań osobistych przyjmuję od godz. 12—7. Nadzwyczaj ciekawej treści książki. Katalog ilustrowany darmo wysyła się. Na wysyłkę dołączyć znaczek pocztowy.

Adres: Psycho-Grafolog Szyller-Szkolnik, Warszawa. Wydawnictwo „Świt”, Piękna 25. 96

WINA WĘGERSKIE
i AUSTRIACKIE

po najniższych cenach 35

poleca **HANDEL HERBATY i KAWY**

Edmunda Riedla

we Lwowie, ul. Rutowskiego 3.

F. KNAUER i SYN

LWÓW — PLAC KAPITULNY L. 2.

Poleca w wielkim wyborze płótna i chusteczki lniane, chodniki, firanki, koce, wełny na kostjmy, zefiry, markizety i koldry własnego wyrobu po niższych cenach 97

Zakład artystyczno-litograficzny

A. HEGEDÜS

we Lwowie ul. Bourlarda l. 3.

Etykiety i sygnatury wszelkiego rodzaju, akcje, papiery wartościowe, afisze reklamowe i t. p.

Wykonuje artystycznie. 85



- Dlaczego ci ludzie biegają jak opętani?
 — Zrobili kolosalne zakłady, czy nowy papież będzie parzysty czy nieparzysty i teraz oczekują telegramów z conclave.

Dziś i rok temu.

Przed rokiem zmyły ludzi dręczyły
 Górny Śląsk, bolszewicy, Wilno, Cze-
 si, rewanz niemiecki, hajdamacyzna...
 Pytali trwożnie:
 — Co dalej?
 Jakoś Bóg dał.
 —
 Tego roku mamy... Michalskiego

i Daninę i naszych paskarzy w pała-
 cach i chatach.

Pytamy się:

— Co dali?

Nie pójdzie tak dalej!

pi.

W komendzie policji państwowej.

— Tu chodzi o sfalszowanie masła,
 to do policji: komunalnej!

— W policji wojskowej:

— To jest spór z cywilnym — to
 na Komendę miasta i placu.

Jest już godzina 2 i minut trzydzie-
 ści. Biura policji komunalnej i ko-
 mendy miasta i placu zamknięte.

— Terefere, puśćmy ich lepiej.

Przekupka i żołnierz zaczynają się
 bić znowu.
 pi.

II.

Druga wizyta Ketty miała już charakter przyjacielski.

— Pierwszy raz przyjechałam do ciebie dorożką. Nie masz pojęcia jak źle w niej wyglądam, zupełnie mi to nie robi do pyska.

— Więc pocóż jechałaś nią, droga Ketty, czworonożna przyjaciółko moja? — spytałem.

— Zaraz ci wytłumaczę. W pewnej dzielnicy waszej stolicy, mieszkają ludzie, którzy w specjalny sposób drażnią moje powonienie.

— W jakiej to dzielnicy? spytałem ciekawie.

— Od P. K. P. K. aż do Muranowa. Ludzie zamieszkujący tę dzielnicę wydzielają aprowizacyjne zapachy: kobiety pachną roquefortem i kozą, mężczyźni serem szwajcarskim i cebulą. Ale, ale! podsłuchałam taką rozmowę: „Słuchaj dlaczego ty masz takie brudne ręce. Szyja?” pyta kobietę mężczyzna z Nowolipia. „Co ręce, ty nogi oglądasz!” odpowiada szyja z Tłómackiej. Posiadanie takiego czujnego nosa jaki jest moją własnością — nie jest zbyt wielkim szczęściem, tembardziej, gdy ma się interes we wspomnianej części miasta. Przyjechałam dorożką, której siedzenie niepokoiło mnie bardzo. Och, ten zapach!

— A jednak! westchnąłem.

— Nie zazdrość: Złudzenie jest stokroć potrzebniejsze do życia, niż wszelaka prawda — wypowiedziawszy swoją życiową uwagę Ketty zaczęła się niespokojnie rozglądać po pokoju, poczem obwąchiwać kanapę.

— Przyjmowałaś u siebie kobiety!

— Chciałaś powiedzieć kobietę.

— Czyżbym się myliła?! Ketty w wachowała się w kanapę, jaka wybredna panna na jajo poczynające się nadpsuwać.

— Czuję wyraźnie dwa zapachy. Czy kobieta, która tu leżała...

— Pfuj Ketty, jak można!

— Zapominasz, że jestem suką. Czy to twoja kochanka?

— Twoja psia niedyskrecja razi mnie!

— Chodzi mi o twoje dobro — wszak jesteśmy przyjaciółmi — nieprawdaż?

— No tak, ale...

— Nie zdradzę twojej tajemnicy. Czy kochanka twoja mieszka z inną kobietą?

— Tak, ale skąd wiesz o tem? — spytałem zdziwiony.

— Zapaszek! drogi przyjacielu, zapaszek! Wiesz co?

— Słucham.

— Twoja kochanka jest brunetką, używa perfumy Chipre, pudru Coti'ego i pierze sobie sama bieliznę.

— Psia mać! skądże wiesz o tem?

Ponikowski na morzu.



— Ciekawy jestem, czy mój gabinet da sobie radę z tymi bałwanami.

— Mów: psia twoja mać, dziwnie mi tem schlebiasz. Skąd wiem, znów ci odpowiem — po zapachu!

— Ale, że sama sobie pierze bieliznę?

— Nie używa chlorku, sody i bielidła. Musi mieć mało bielizny.

— Jesteś zadziwiająca! Czy możesz powiedzieć, czy mnie zdradza?

— Jeśli ci na tem zależy...

— Czy zależy?! Życie bym dał żeby wiedzieć.

— Ketty się dowiel! Zauważyłam, że nie czujesz się zupełnie dobrze.

— Istotnie nie bardzo dobrze, ale poczem poznałaś?

— Od twojej szafki nocnej idzie zapach białka i kwasów siarczano wapiennych. Powinieneś się szanować.

— Cóż to zdaje mi się, że robisz nosem analizy.

— A tak! Widzisz jaką masz przyjaciółkę!

— Doprawdy razem z podziwem dla twoich nieoczekiwanych zdolności wzrasta moja przyjaźń dla ciebie. Ketty jesteś nieoceniona!

— Przesadzasz! Jestem tylko uczłowieczony pies płci pięknej.

— Bajecznie brzmi, kiedy mówisz: — „jestem pies płci pięknej”.

— Cicho! Ktoś nadchodzi. Pamiętaj, gdy kto wejdzie jestem niemowa, zwyczajna suka.

— Trudno mi się będzie niezapomnieć.

— Ja nie zapomnę — będziesz zatem mówił jak dziad do obrazu.

— Cicho, puka...

— Proszę! krzyknąłem wprowadzając do pokoju mego kolegę z czasów gimnazjalnych dziś wásatego i groźnego suwerena Dąwala.

Ketty wyszczerzyła zęby, zastrzygła uszami i bacznie spojrzała na mego gościa, który dziwnie zmęczony usiadł na kanapie, obok suki, uprzednio popatrzywszy się na nią z pewnym właściwym mu brakiem zaufania.

— Nie bój się nie gryzie! zapewniłem go o delikatności Ketty, która w tem miejscu warknęła.

— Ach wszystko mi jedno! odpowiedział poseł.

— Znów cię sprali? zapytałem.

- Acha!
- Po mordzie?
- Po mordzie!

Ketty wystawiła szereg białych zębów i zamerdała ogonem.

— Dla idei?

— Pfi... tak się to nazywa. Nie lubię chamstwa! — słusznie zauważył poseł chcąc pogłaskać Ketty, która odwróciła się ku niemu nie orłem, lecz reszką.

— Ale, że ty też tak pozwalasz ciągle brać się pod brodę? zapytałem patrząc na podbite oko mego b. kolegi.

— Wciąż oczy podbijają katy... zanucił sobie pod wąsem poseł Dawal.

— Ale djety pobierasz?

— A co mam nie brać może. Jestem popularny i przez mniejszość nie rozumiany, ale moneta-moneta!

— Zupełnie tak jak Karolek na Węgrzech.

— Idjota! Przecież on miał wszystko i depo-zyty i... Zyty więc mógł siedzieć spokojnie. Jak ja będę miał depozyty, to...

Poszoł won! ryknął poseł na Ketty, która niezwykle zręcznym ruchem wyciągnęła z bocznej kieszeni marynarki polskiego suwerena cztery n-ry „Rohte fane” i pięć n-rów „Prawdy” rosyjskiej i zginęła za drzwiami.

Zostaliśmy sami. Dyskusja na temat polityczny skończyła się dość nieprzyjemnie dla mego gościa, któremu zmuszony byłem podbić lewe oko i wybić dwa zęby trzonowe.

J. Zyz.

ST. BRANDOWSKI.

O LWOWIE PIEŚŃ NAD PIEŚNIAMI.

(Ciąg dalszy.)

XVIII.

Idźmy więc dalej przez Hetmańskie

[Waty:

ten dom na lewo wybudował Niemiec, jakiś ponury, wąski i niezdały — to gmach skarbowy, długi jak

[tasiemiec.

I rzeczywiście ta wciąż głodna jucha najlepsze rzeczy wyjada nam z brzucha.

XIX.

Tutaj to szalał fiskus austriacki, największe może na świecie kurjozum, stąd on wyciągał swoje lepkie macki po ludzką kieszeń i po ludzki rozum. Człowiek, co stworzył ten fiskalny

[szimmel

ten chyba we łbie miał fuzle i kimmel.

XX.

Dziś gmach ten przestał

[kaduczością nęcić

a inne myśli niejednego tużnią:

gdybyż się można z daniny wykręcić, której w tym gmachu urządzono

[kuźnią!

Więc biedzą się nad tem różne filozofy jakby uniknąć onej katastrofy.

XXI.

Tuż za fiskusem, nad Pełtwi nurtami, niedawno jeszcze widywali ludzie, kiedy to wojna szalała nad nami, jak wojak drewniany stał

[w drewnianej budzie, a nie był to sobie żaden błędny

[rycerz, bo go wystrugał jakiś c. k. snycerz.

XXII.

Dokoła niego istna ludzka magiel! to patryotów cisnęła się tołba, a każdy pragnął zabić mu hufnagiel między pośladki, do pępka lub do łba. W ten sposób ów rycerz, choć taki

[osiłek,

miał zagwożdżoną i głowę i tyłek.

XXIII.

Teraz go niema — i wie jedno lichy, jak mu dziś ludzie hańbią jego matkę, on sam zaś gnije w archiwum na

[strychu*)

choć i taką słyhać o nim gadkę, że jakiś go hofrat wziął sobie do domu i się do niego modli pokryjomu.

XXIV.

Obok Sobieski pod jaworów pieczą siedzi na koniu i duma z kulbaki:

„Poco Wiedniowi spieszyłem

[z odsieczą

„i kark nastawiałem dla takiej sobaki!

„nato-m przed turkiem bronił

[szwabskich murgów

„aby ich podać w niewolę

[Habsburgów?

XXV.

„Chociaż powoli Boże młyny miały „i pomsta Boża nie jest dziełem

[rychłem,

„aliści dzisiaj na szczytach Wawelu

„amarantowy sztandar igra z wichrem,

„a Habsburg Ostatni w pielgrzymiej

[opończy

„pijacki żywot gdzieś za morzem

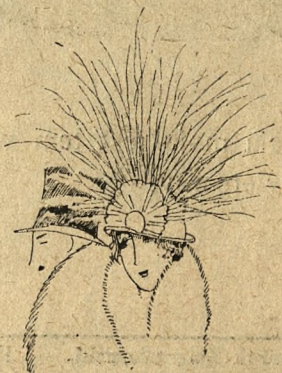
[kończy!

XXVI.

Czarnogiełdziarze, aby nabić kieski, niegdyś pod królem stali przez dzień

[całki

*) W muzeum miejskiem.



konszachty czyniąc — i biedny

[Sobieski

nieraz miał z nimi ciężkie perepalki, bo choć zachwycił się wojenną

[piosnką,

nie znosił szwargotu, ani smrodu

[z czosnku.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Lwów czy Warszawa.

W pewnem towarzystwie sprzeczało się, w którym mieście bardziej i prędzej krzewi się dowcip i humor, we Lwowie czy w Warszawie? Wkońcu musieli i Warszawiaczy przyznać, że Lwów stoi pod tym względem wyżej, gdyż we Lwowie znane są już od kilku miesięcy wszystkie wesołe utwory, które teraz dopiero co wieczór recytuje w warszawskim „Stańczyku” nieprześcigniony Seweryn Michałowski, który przybył tu wprost ze Lwowa.

Mar.

Po walcu.

— Piękna maseczko, pani istotnie ma w sobie coś z sylfidy!

— O! kto panu powiedział, czo ja na to chorowałam!

AB.

Przygoda na rynku w Paragwaju.

— Przekupka pobiła się z żołnierzem, z powodu różnicy zdań co do autentyczności masła. Krew się leje... Przechodnie biorą winowajców i prowadzą do władzy. Przekupkę do Dyrekcji policji. Żołnierza do Żandarmerji wojskowej.

Dyrektor policji:

— To nie do mnie — to do komendy policji państwowej!

Oficer żandarmerji:

— Ten żołnierz nie jest ani dezertorem ani szpiegiem — to do policji wojskowej

pi.

Karnawałowa choroba.

— Więc pan doktor konstantuje, że moja żona ma lekką tylko histerję. A co trzeba robić, żeby to przeszło?

— Trzeba jej kupić — nową suknę balową.

AB.

Autentyczne.

W jednym z numerów dziennika Grudziądzkiego — umieszczono następujące ogłoszenie: *Interes mięsa i kiszeki — wyroby z własnych flaków.*

— Bądź co bądź, samozaparcie się ze strony rzeźnika...

spostrzegł Sław.

Kosmetyka.

— Co to jest środek kosmetyczny?

— Środek który niewiele szkodzi i nic nie pomaga.

Sław.



Fortuna variabilis.



General Sikorski: Moji panowie! Satysfakcja moja jest tem większa, że w gronie panów widzę samych moich najzaciętszych adwersarzy.